№ 26.

Warszawa dnia 18 (30) Czerwca .r 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

Z upływem bieżącego miesiąca kończy się półroczny zapis na Ty godnik Mód upraszamy przeto Szanownych Prenumeratorów, o wczesne składanie przedpłaty prenumeracyjnéj na drugie półrocze.

Ponieważ kierunek w jakim dotąd redagujemy Tygodnik Mód, tak w części literackiéj jak i dotyczącéj ubiorów, robót ręcznych i domowego zarządu, powszechne zyskał uznanie, trzymać się go więc będziemy w dalszym rozwoju naszéj pracy. Co tylko zatem w pismach francuzkich i niemieckich, przychodzących do naszego kraju znajdziemy praktycznego i pożytecznego, zgodnego z naszym gustem i potrzebami, wszystko to jak dotąd, tak i nadal pomieszczać będziemy w osobnych dodatkach tygodniowych.

Po ukończeniu obecnie drukującéj się powieści *Pamiętnik młodéj mężatki*, rozpoczniemy zaraz druk oryginalnéj powieści pani Pauliny Wilkońskiéj. Urywki z pamiętnika Jana Bugaja iść będą daléj bez przerwy aż do ich ukończenia, potem damy ciekawą podróż po Australji przez jednego z naszych rodaków odbytą. Obok tego mieścić będziemy artykuły czerpane z obcych literatur, kronikę literacką, korrespondencje z Paryża, tygodniowe pogadanki i t.p.

Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama.

Ponieważ rozsyłanie po prowincji każdego perjodycznego pisma, nie do Redakcji ale do Poczty należy, w razie zatem nieregularnego odbioru Tygodnika Mód, interesowani raczą zgłaszać się nie tylko do Redakcji, ale i do Zarządu Poczt w Warszawie, co uskutecznia się na papierze prostym bez opłaty portorji.

Przy przesyłaniu pieniędzy na sprawunki lub na prenumeratę, prosiemy o wyraźne wypisywanie nazwiska i ostatniéj Stacji Pocztowéj a nawet Gubernji, bo tylko tym sposobem uniknąć można pomyłek w przesyłce.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

(Dalszy ciąg.)

V.

PRZEPROSINY I DYKTERYJKI.

Na drugi dzień po nabożeństwie w Betlejem, bo pomimo nocnéj zabawy wszystko musiało iść według ustanowionego szyku, kiedyśmy znajdowali się w obocznéj komnacie pana podskarbiego, wyczekując rozkazów, nagle przyjechał pan Godziemba, czego była taka przyczyna, jak mi to później opowiedziano.

Nastka i Jaś, o których wspomniał pan Godziemba że zaradzą wszystkiemu choć jego nie ma w domu, byli to małżonkowie co szli służbą ekonomską z dziada pradziada z ojca na syna, a zawsze trzymali się rodu Godziembów. Byli więc nie jak służący, ale jak krewniacy najbliżsi, a że pan Godziemba choć letni a przy nich się wychodował, więc prywaty z nim nie przestrzegali, i często sfukali jak nieprzymierzając ojcowie wyrostka. Jaś co wysłuchał przymówisk do Ogrodzińskiego, Sajewicza i kapitana, bo się zawsze kręcił bliżéj swego pana, aby wrazie zbytku w mowie, powściągnąć mu język jakiem karcącem słowem, pomrukiwał tylko stojąc na uboczu, a gdy na drugi dzień przyszedł do sypialni otworzyć okienicę i pan Godziemba zapytał:

— „Cóż to wam tak pilno z temi okienicami?

Starowina potrząsając głową, odrzekł ostro:

— „Jegomość przy kieliszku o wszystkiem zabaczasz przecieć to dzień jak wół — wstawać ot nie bałamucić....“

— „Bój się Boga człeku — odezwał się sumitując pan Godziemba — „przecieć zbytkowania nie było bez miary“.

— „Ale — nie było?“ — powtórzył Jaś z przedrzeźnianiem — „tylko tyla, że o mało jegomość gości nie porozganiał jak jaki bisurman“.

— „Baraszkujesz Jasiu — przydatki dobre do talerza, ale nie w mowie“.

— „Ej! wstydzić się ot wstydzić, bo czy to poczciwie przygryzać nazwiskom chrześcjańskim, i wywodzić trele—mele jakby w jakiem zadaniu. Żebym ja był na miejscu pana kapitana, tobym jegomości wyzwał na rękę i nie tykałbym ciała, alebym język okaleczył.

— „Bój się Boga Jasiu! — i to tak na prawdę?— zapytał pan Godziemba nie śmiejąc się wypytywać szczegółowo.

— „Ej! jegomość, młokos, jegomość furfant, a ja mam już swoje lata, to zmyślanie się mnie nie ima. Czy to słychana rzecz, żeby w gościnie dawać u siebie gościom traktament z przykąsów i z pokpiwania. Czy to jegomość Jadźwinga, albo poganin? Żeby tak mój wyrostek na harc z językiem wyjechał to bym go ociął smyka, aż do krwie. Wstydzić się ot wstydzić, ja stary a nie śmiem oczów rzucić dziś między ludzi, a jegomość się pytasz o okienice dla czego mi z niemi tak pilno. Powstydaj się jegomość dnia słonecznego jak ja się wstydzę wszystkiego na co spojrzę, Boga, ludzi, a nawet ptaków co zdają się nie śpiewać, ale wyśmiewać i ze mnie i z jegomości!“

Pan Godziemba nic nie odrzekł tylko westchnął, bo zmiarkował z takiéj wielkiéj aprensji Jasia, że musiał dobrze wczoraj potknąć się. Więc po chwili rzekł nieśmiało:

— „To powiadacie Jasiu, że pana kapitana szarpnąłem....“

— „Ba! i pana Ogrodzińskiego i Sajewicza.....“

— „To przeproszę, przeproszę, każcie mi białonóżkę okulbaczyć — przecieć słowo wiatr....“

— „Ale kole gorzej grotu....“

— „No — no — przebaczą krewkości....

— „Ja bym nie przebaczył, tylko wyzwałbym na rękę, i żebym był z niemi, to bym podmówił żeby jegomości dobre dali pamiętne, żeby podcięli wąsy, albo łydki, albo co innego. Z tego to powodu, przypalił do nas pan Godziemba, a jak tylko wszedł do izby dworzańskiéj, w któréj jak na zmowę wszyscyśmy się znajdowali rzucił się ku kapitanowi mówiąc:

— „Mosanie kapitanie, czy to prawda co mój stary Jaś powiedział że wam wczoraj przymówiłem?

— „Ba i przymówiliście i obmówiliście panie Wojski.

— „Nie gadajcie, przecieżem był przy swoim rozumie.

— „Nazwaliście mnie koniem krasoniem....

— „O — o — o! — przehalowaliście“ — odrzekł pan Godziemba młynkując ręką w powietrzu — „gdzież jabym ważył się w wasze szlacheckie poczciwe gniazdo, starą wywłokę krasiastą wprowadzać?

— „Mnie pan Wojski dobr.“ — odezwał się Ogrodziński — „wywiódł od pasternaku....“

— „A moich przodków“—odezwał się Sajewicz— „osadził pan Wojski przy piecach książęcych w Nieświeżu.

— „Nie gadajcie, — nie gadajcie“ — wzdychając mówił pan Godziemba — „czy zmowa, czy co....?

— „Nie zmowa, ale oczywistość“ — odrzekł kapitan — „i takiéj natury, że na co spojrzę to wszystko mi się na krasę przeinacza“.

Pan Godziemba zczerwieniał od wstydu i kręcąc głową szeptał ze wzdychaniem:

— „Bójcie się Boga, toć był urok, to urok....“

— „Ja dziś to jakby na rozkaz“ odezwał się Sajewicz — „chciałem w piecach palić.....“

— „A ja nicbym nie robił — odezwał się Ogrodziński — tylkobym wodził się po ogrodzie i szukał pasternaku....“

— „Pod oknami fraucymeru“ — dołożył zaraz Cichocki.“

Chociaż to były młode baraszki, ale pan Godziemba tak był przejęty zmartwieniem, tak się wstydził wczorajszéj na siebie przypadłości, że nie śmiał spoj-

rzeć na nas, tylko wodził oczami po ziemi szepcząc ze wzdychaniem: to urok — to urok!

Pan kapitan widząc że pan Wojski na piękne sfolgował i został jak trusiątko, chcąc choć baraszką zapłacić za wczorajsze zmartwienie, wyprostował się i zarżał jako koń do stada na pastwisku.

Że zaś miał głos piękny i umiał to dokazać z wielką sztuką, więc wszyscyśmy się zwrócili z oczami, jakby w spodziewaniu że ujrzemy konia. Nawet spojrzał pan Godziemba, my zatem w śmiech, a on w strach i oczy w słup, bo myślał co kapitan ofiksował. Daléj że i kapitan w śmiech, a my w boki aż do pokładania. Przecieć się nareszcie pan Godziemba upamiętał i pomiarkowawszy co się święci, nuż nas w kolejkę całować, a najwięcéj tych co im wczoraj przypieprzył i przysolił.

— „Przebaczta, przebaczta“ — mówił żałośliwym głosem — „to żyd kanalja w Opatowie musiał z winem jakąś zrobić sztukę, żeby szlechecki rozum obłąkać, bo gdzieżby mnie takie wymysły przyszły do głowy?

— „Tak, tak, to żyd kanalja“ — powtórzyliśmy wszyscy całując z poszanowaniem w ramię pana Godziembę.

Co było jeszcze potem żartów i figlowania, to tego nie spisze i na wołowéj skórze. Wkrótce potem pożegnaliśmy się z panem Godziembą przyrzekłszy soleniter, że przy pierwszéj sposobności zjedziemy wszyscy do Kurowa na przeprosiny.

Ponieważ pan Podskarbi dopiero po południu miał jechać do pana Leduchowskiego co mieszkał na Górkach w Klimontowszczyźnie, a teraz był zajęty pisaniem listów, więc mieliśmy wolność wszelaką do zabawiania się rozmową. Naprzód wszczęło się dyskurowanie o wadność pana Godziemby kiedy w napitku dopuści się zbytku. Opowiadali mi o tém różne ciekawości, ale z jednego zdarzenia, które zaraz opowiem, poznałem co to w nim za poczciwa mieszkała dusza. Wtedy dopiero zrozumiałem dla czego taką mieli dla niego wyrozumiałość i poszanowanie. Potem od pana Godziemby prześli do innych panów, a pan Kapitan co się już nasłuchał różnych pomiędzy ludźmi rzeczy, gdy jedni podpierali drzwi do pańskich pokoi, bawiąc się dmuchaniem na piórka latające w powietrzu, on tymczasem wywodził różne zabawne dykteryjki.

Opowiadał na ten przykład z dawności o jednym z książąt Szlązkich Bolesławie co go zwano Rogatka. Ten po trzeźwości to różne zabawne stroił figlasy, ale w podpiciu zabaczał o wszystkiem i nie jednego o szwank w zdrowiu przyprawił. Jak szumieć w głowie przestało, nie pamiętał niczego i słuchał o swoich dziwnościach jak historji o żelaznym wilku. Pomiarkowali się też w prędce dworzany i choć potakiwali słowami, robili jednak to co wypadało, a nie to co kazał.

Raz szafarzowi co dopominał się o poślad dla wieprzy, kazał żeby dano siana. Kiedy szafarz sumitował się że wieprze sianem się nie żywią, odrzekł niby z wielkim gniewem:

— „Kłamiesz, bo sam widziałem jako gryzły trawę, to dla czegóżby sianem gardziły? Dać im siana niech się grymaszenia oduczą“.

Potem zapytał szafarza tak cóś w godzinę:

— „A co, jedzą siano?

— „Jedzą, aż im się uszy trzęsą“ — odrzekł szafarz bo siano założył na drabinkę a ziarna posypał w koryto. Książę z ciekawości zaszedł do chlewu i choć poznał oszukanie, jednak udał co tego nie widzi i mówił z największą prawdziwością:

— „A co nie mówiłem że jedzą siano? Ho — ho! wiedzą że ze mną nie przelewki!

Raz znowu, a był wtedy bardzo podpiły jeden z robotników cosić mu bardzo doskwierzył. W impecie złości kazał go ściąć i głowę przynieść na misie. Dworzanie więc ukryli wyrobnika a jemu powiedzieli że stało się jak rozkazał. Na drugi dzień książe jakoś osowiał, widać co mu gryzło sumienie wydanie wyroku śmierci i to może pierwszy raz w życiu zapamiętał. Nie zwierzył się jednak ze swoim frasunkiem, spytać zaś nie śmiał, tylko chodził po różnych dziurach i kątach, szukając jakiego śladu. Nie mogąc się niczego domacać strasznie był niespokojny, dworzanie więc pomiarkowawszy to, wypuścili wyrobnika pod oczy księcia, niby niosącego konwie z wodą.

— „Héj!—hej!—zawołał książe z uradowaniem— „a czy to ty co cię wczoraj ścieli z mego rozkazania?

— „Ten sam książę panie“ — odrzekł wyrobnik przypadając do nóg księcia“.

— „A i ożyłeś?

— „Nie, ino zmartwychwstałem“.

— „No to i dobrze, można dla zabawki łby ścinać, kiedy umarli wstają i znowu pracują. Na pogrzeb jednak bratku musiałeś się wydać?

— „Do ostatniéj koszuli JO. Książe“ — odrzekł wyrobnik.

— „To idźże do marszałka, obrachuj się i niech ci wszystko powróci.“

Kiedy delikwent wrócił z podziękowaniem za pocieszne, książę zapytał:

— „A gdzie głowa co na misie miała służbować?

Marszałek podał okrytą misę, na któréj znajdował się ucięty łeb jendora“.

Książe przyjrzał się mu dobrze jakby na prawdę ludzkiéj głowie, potem z zadziwieniem zapytał:

— „A dla czegóż tak zmieniona?“

— „To ze strachu mości książe“.

— „No — no — ze strachu“ — powtórzył książe — „ha! za tyle termedji to wydajcie mu i ciało“.

Tak więc wyrobnik i nagrodę wziął i jendora czyli do barszczu dostał dwa grzyby.

Potem opowiadał o drugim księciu na Ziembicach, o różnych panach a jak prześlismy do żyjących, to myślałem że się zagubiemy w śmiechu, kiedy Cichocki zaczął naśladować pana Górkę jak przez nos mówi, pana Ziembickiego jak mruży oczami i jąka się i jak pan Maciejowski ma przysłowie: *bracie kuku*, które nie często powtarza ale zawsze w takim miejscu, co dużo przyczynia smieszności. Podobnych różności było wiele, a choć kapitan przodował, to równie każdy cóś dołożył swego, że z tego wiele mieliśmy pocieszności. Ale muszę opowiedzieć zdarzenie z panem Godziembą, które mi jakby na malowaniu dokumentnie przełożył kapitan.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Proces pomiędzy Kłosami i Gazetą Polską o prawo drukowania w tłumaczeniu Pracowników morza, znakomitego utworu francuzkiego pisarza, zwrócił także i tutaj ogólną na siebie uwagę. Dziwiono mu się niezmiernie i dosyć ciekawie wyglądano rozwiązania. Podobno w drugiéj instancji Gazeta przegrała, czem ucieszyliśmy się niewymownie, bo wygrana mogłaby się stać murem chińskim, odgradzającym nas od korzyści jakie odnosił kraj dotąd z obcéj literatury. Wynagrodzenia dla prac oryginalnych są u nas niezmiernie małe, zaledwie pierwszorzędnym pisarzom wystarczające na skromne nader utrzymanie, cóż dopiero mówić o tłumaczeniach. Gdyby więc jaki autor lub wydawca cudzoziemski uparł się przy cyfrze wynagrodzenia przechodzącéj możność naszych nakładców, dzieło choćby najbardziéj pożądane, mogłoby pozostać obce dla polskich czytelników może raz na zawsze, z wielką szkodą ogólnego wykształcenia.

W Paryżu także literacki proces, ale innego rodzaju, zainteresował całą tutejszą publiczność. Odbył się on pomiędzy pisarzem panem Homel a księgarzem p. Lacroix, i to nie skutkiem nieporozumienia ale przeciwnie najzupełniejszéj zgody i obmyślanego naprzód planu. Księgarz ułożył się z p. Homel o wydanie dzieła jego p. t. historja Robespiera, a mającego być napisanem w trzech tomach. Po wyjściu pierwszego tomu p. Homel za inną jakąś pracę naraził się na proces sądów karnych francuzkich. To obudziło obawę p. Lacroix, wydania drugiego tomu, jako jednak człowiek zręczny i przedsiebierczy, użył następnego środka strategicznego.

— „Drukując drugi tom pańskiego dzieła, rzekł on do autora, mogę narazić swoją osobę na odpowiedzialność: niedrukując robię panu zawód i narażam się na znaczne straty. Obierzmy więc drogę pośrednią, któraby uchroniła pana od szkody a mnie od odpowiedzialności. Ja odmówię drukowania następnego tomu, a pan mnie zapozwiesz przed Trybunał, w którym bronić się będę treścią utworu sprzecznego z prawami obowiązującemi we Francji. Jeżeli sądy zmuszą mnie do publikacji, będę tym samem zasłonięty od argusowych oczów Prokuratorji. Koszta procesu do mnie należyć będą“.

Jak ułożono tak zrobiono, a podejście to jakkolwiek dziwne łatwe do wytłumaczenia. Dawniéj żaden rękopism nie mógł być drukowany bez uzyskania na to stosownego pozwolenia.
Później zniesiono cenzurę a ogłoszono prawo drukowe, dozwalające drukować wszystko, nie sprzeciwiające się wydanym w tym względzie przepisom, pod utratą publikacji, kary pieniężnéj lub aresztu. Dziś więc zmuszeni są księgarze sami oceniać moralność mającego się drukować dzieła, trawieni zatem obawą i chęcią zarobku, znajdują się często między młotem i kowadłem. Położenie takie jeden z księgarzy dowcipnie określił powiadając, iż każdy przedstawiony sobie rękopism, zdaje mu się być kluczem od więzienia podanym na arkuszu papieru.

Z tego to powodu p. Lacroix postanowił przeprowadzić proces, który jednak choć dowcipnie obmyślany, nie przyniósł pożądanego skutku. Sądy bowiem wyrzekły, że ponieważ księgarz zobowiązał się do drukowania dzieła, powinien więc tego dopełnić. Co zaś do treści, to ocenienie jéj uznały za przedwczesne gdyż według prawa nastąpić to może dopiero po wydrukowaniu rękopismu.

Bolesne zadziwienie jakiego doznał p. Lacroix z tak niefortunnego ukończenia sprawy, nie da się nawet słowami określić. Humorystyczne tutejsze pisma podniosły natychmiast całe to wydarzenie, a jedno z nich na wzór dijalogu Moljera w komedji Mariage force, ułożyło następującą rozmowę:

Księgarz. Czy uczynię właściwie drukując drugi tom historji Robespiera?

Trybunał. Niezawodnie, bo zrobisz to odpowiednio do zawartéj umowy.

Księgarz. Wiem o tem, ale drukując go, mogę się narazić na karę pieniężną a nawet więzienie.

Trybunał. To rzecz bardzo prawdopodobna.

Księgarz. Jak więc wysoki Trybunał uważa tę okoliczność?

Trybunał. Że jest bardzo drażliwa.

Księgarz. Cóż więc mam zrobić?

Trybunał. Zrób co ci się podoba, a my nawzajem w swoim czasie nie omieszkamy dopełnić swego obowiązku.

Księgarz. Serdecznie jestem wdzięczny za radę.

Trybunał. Cieszy nas to niewymownie.

Księgarz wzdycha, Trybunał uśmiecha się, a woźny głośno woła: panowie proszę na ustęp, audjencja skończona! Publiczność bije oklaski, dopytując się troskliwie, komu służy ta owacja, Księgarzowi czy Trybunałowi?

ZACHWYCENIE

Z PIEŚNI WSCHODNICH W. HUGO.

I stałem raz nad morzem w noc cudnie gwiazdzistą,
Żadnéj chmurki na niebie ni żaglu na toniach,
Wzrok mój wybiegł daleko po za ziemię mglistą,
W niepojętym zachwycie błądził w raju błoniach,
A lasy, góry, wody, całe przyrodzenie,
Pytały się przez ciche przytłumione tchnienie
Gwiazd i fal o tajnią dróg!

A lśniące gwiazdy nieba niezmiernych szeregów,
Głośno, cicho śpiewały w cudownéj harmonji,
Schylając głowy zdobne w korony świetliste.
Błękitne fale tocząc od brzegu do brzegów,
Niepowstrzymane w biegu od niczyjéj dłoni,
Mówiły wznosząc w górę swe piany śnieżyste:
Jest Pan stworzenia jest Bóg!

Liljana.

Pogadanka Tygodniowa.

Letnia pora w Warszawie, a szczególniéj dnie gorąca i upału, to prawdziwa tortura jakiéj w chrześcjańskiéj pokorze mało komu życzę. Jedna kąpiel w Wiśle co choć chwilowo chłodzi, orzeźwia i świeżym darzy oddechem, w mieście zaś gdzie się obrócisz, czy w domu, na ulicy lub w ogrodzie, wszędzie otacza cię skwar, kurz i zaduch.

W domu, duszą cię ściany, za otwarciem okien męczy trajkot i rumot niemiłosierny, w towarzystwie najdelikatniejszego pyłu wciskający się wszędzie z nieubłaganem natręctwem. Na ulicy rozpalony bruk, mury i blachowe pokrycia dachów, zieją parem hutniczéj atmosfery, zgęszczonéj tumanami piasku z miejsc świeżo zabrukowanych; w ogrodzie nareszcie powłóczyste suknie kobiet, doprowadzają szukających swobodnéj przechadzki do prawdziwéj rozpaczy, plączą się, zawadzają, przeszkadzają, w przydeptywaniu trzeszczą, skrzypią, piszczą, wywołują wykrzykniki przestrachu, niezadowolenia, lekkie chmurki gniewu niedające się nawet złagodzić zalotnem spojrzeniem choćby najurodziwszych winowajców i co najgorsza, poruszają pył, który znowu dusi, krztusi i dławi.

W mniejszych ogródkach jeszcze jako tako, ale w Szwajcarskiéj dolinie albo w Eldorado, przy ścisku bywa czasami taki war gorąca, że i łaźnia parowa nie wiele większego dostarcza. Tak więc dla biednego Warszawiaka w porze letniéj nie ma prawie ratunku, pociesza się też różnemi rozrywkami, loterją fantową, muzyką, cyrkiem, wiankami, teatrem, widowiskami rozmaitemi, marząc o cienistych gajach, mruczących strumykach i wietrzyku muskającym kwieciem usłane łąki a falującym po niwach dojrzewającego zboża.

Rozeszła się tu wiadomość odwołana jednak przez pisma codzienne, że pan Bilze powziął zamiar nabycia Doliny Szwajcarskiéj na współkę i stałego osiedlenia się w naszem mieście. Szkoda że wszystko to było plotką, że dorobek jaki posiada pan Bilze, nie wystarcza zapewne na urzeczywistnienie myśli jak najlepsze rokującej widoki. Szkoda, wielka szkoda, bo dorobkom poczciwym, pracą zdobytym i rozsądnie użytkowanym nie zazdrościmy nigdy, ale przeciwnie cieszemy się z nich. Pan Bilze zaś pracuje i to niepospolicie, rano próby kilkogodzinne, wieczorem koncert, wciągu dnia przeglądanie partytur, przeróbki, poprawki, to wszystko zapełnia dzień cały od rana do nocy. Niepobna aby takie sumienne oddanie się swemu zawodowi, nie przyniosło stosownych owoców, które możeby nie jednemu zawróciły już głowę, napuszyły i wyprowadziły na cudaka, szastającego się i palcem wytykanego przez wszystkich. Pan Bilze od pierwszéj chwili poznania aż do dnia dzisiejszego, pozostał jeden i ten sam, cichy, skromny, pracowity, przez dzień cały mozoli się, syn gra w orkiestrze, pani Bilze z córeczką przedaje bilety nie w jedwabiach ani w atłasach, a jednak szanowana przez wszystkich, jak na to praca i skromność zawsze zasługują. Kwestją tę podnoszę nie z podmowy żadnéj, bo pana Bilzego nie znam osobiście, ale z własnego popędu jako przykład godny naśladowania dla wielu, co to pozorowi wielkie przypisując znaczenie, gotowiby duszę piekłu zastawić, aby tylko oczom ludzkim przedstawić się za magnatów kąpiących się w złocie. Biedni! nie wiedzą, że te oczy które zwrócić pragną, nie tak łatwe do omamienia i lepiéj znają tajemnice cudzéj kieszeni jak własnéj. Pozór niby przyjmują za prawdę, darzą nawet ukłonem, nadskokiem, uwielbieniem, ale zaraz na stronie dziwią się, szydzą i wyśmiewają.

To hołdowanie pozorowi wielką u nas jeszcze odgrywa rolę, i grzech ten powszedni jakoś trudno niezmiernie przychodzi nam wykorzenić. A czas wielki czas, na gwałt winniśmy się z niego leczyć i wyleczyć, choćby tylko przez wzgląd, że świata pomimo największych starań nie oszukaliśmy, bo nas nikt nie ma za magnatów. Znam tu kilku rzemieślników i przemysłowców cudzoziemców, niezawodnie kilku miljonów dorobkiewiczów, a jednak mimo tego pracujących może nie z takiem natężeniem jak dawniéj, zawsze jednak pracujących szczerze i gorliwie. Pannie za trojaki przedają w sklepie, córki im dopomagają, synowie pracują osobno lub wspólnie z ojcami *nb.* ukształciwszy się wprzódy nie po partacku, nie na popis salonowy, czego im również nie brakuje, ale gruntownie i w ogólnych wiadomościach i specjalnie stosownie do obranego zawodu. Młodość przeszła im w pracy, w trudzie i mozole, nie na rozbijaniu bruku Warszawskiego, lornetowaniu i hulance, cóż więc dziwnego, że wspomożeni fortuną ojcowską, kiedyś staną się prawdziwemi magnatami, i rozsiądą się w dawnych magnackich pałacach przesiąkniętych życiem drobnostkowem i błachostkami?

Przedmiot to nie nowy, podnoszony już nie raz w Pogadance Tygodnika, ze szczególnym zwrotem do kobiet polskich; dziś ponawiam go mając na myśli zakład fotograficzny panny Heleny Bartkiewicz. Zacna ta pracownica wspólnie z dwoma siostrami, pojmując dobrze, że tylko we własnem usiłowaniu powinna szukać przyszłego bytu i stanowiska, że praca igłą nader szczupłe zapewnia korzyści, powzięła myśl nową i śmiałą, poświęcenia się fotografii.

Wyuczywszy się więc wszystkich tajemnic obranego zawodu, co także bez trudu i pewnych niedogodności nie obeszło się, posiadane zasoby nie oddając na przynętę posagową tak dzielnie na serca wielu mężczyzn działającą, obróciła na urządzenie zakładu fotograficznego, zwykle dosyć kosztownego, i jak

władczyni w krainie nowéj myśli, ujęła berło pracy, dotąd piastowanie tylko przez męzkie dłonie. Ubrana skromnie jak przystoi każdéj rozsądnéj pracownicy, razem z siostrami zajmuje się wszystkiemi czynnościami, grupuje fotografujących się, poprawia pozycje niepomijając najmniejszych drobnostek, ustawia aparat, krząta się, biega, preparuje w ciemnicy, i choć na końcach palcy czernią się plamki od kwasów, choć ręce przybierają szorstką trochę powłokę, ale barwa to zacna, szlachetna, którąbym oprawił w złote ramki i ubrylantował drogocennemi kamieniami. Co do zdejmowanych portretów, te w niczem nieustępują najlepszym, i widoczna przebija się w nich siaranność wydawania z zakładu tylko dobrych, które jak to mówią wybornie się udały.

Jezeli która z Was zacne moje Czytelniczki będzie w Warszawie, nie zapomnijcie o zakładzie Panny Bartkiewicz.

Nowością zajmiecie się, a robotą zadowolnicie, zaręczam Was.

O UBIORACH

Korrespondencja z Paryża.

Niektóre Paryżanki przyjęły do wyjścia na ulicę suknie średniéj długości, nie powłóczyste a nawet, na trzy cale nie sięgające ziemi. Zdaje się że ta moda wkrótce się upowszechni, byłaby to bardzo pożądana zmiana, korzystna dla wszystkich, szczególniéj przy większym napływie przechodzących, zmuszonych prawie co chwila przydeptywać lub wyrywać bryty ze stanu. W powozie, w salonie, dłuższa suknia nie przynosi tych niedogodności, aby tylko nie wpadała w przesadę, na ulicy zaś i na przechadzkach bezwarunkowo powinna być krótszą niedochodzącą do ziemi, lub podniesioną w festony za pomocą znanych dobrze stosownych przyrządów. Tym bowiem sposobem suknia nie niszczy się, nieporusza pyłu ulicznego zabójczego dla wszystkich, a szczególniéj dla delikatniejszego zwykle organizmu kobiet, i nie stanowi przeszkody w przechadzce, słusznie niecierpliwiącéj każdego.

Uważaliśmy ubranie do wyjścia złożone z dwóch spódniczek. Jedna z nich przeznaczona na spód, nie sięgała do ziemi, wierzchnia zaś jeszcze o kilka cali krótsza, bez podpięcia, kończyła się u dołu zębami. Ubranie to było z lenosu popielatego. Spódniczka spodnia nad obrębem, miała pliskę z fularu *bleu mexique*. Zęby u wierzchniéj spódniczki objęte były takimże fularem. Paletocik do tego wycięty w zęby, śpięty na guziki niebieskie jedwabne, przepasany był paskiem niebieskim z jedwabną rozetą na przodzie.

Inne ubranie na ulicę w tymże samym rodzaju składało się ze spódniczki fijołkowéj z lekkiéj alpagi, bez żadnego garnirunku, wyciętéj tylko w głębokie zęby okrągłe, objęte sznurkiem. Na to szła spódniczka zwierzchnia krótsza na pół ćwierci łokcia, z popielatego lenosu, bez żadnego podpięcia, wycięta w takież zęby, zakończone rulonikiem fijołkowym. Stanik zastępował paletocik *peplum* zwany od podobnego ubrania dawnych kobiet Rzymskich, krótki z tyłu i z przodu po bokach zaś przedłużony znacznie, zakończony w ostre zęby. Boki te rozcięte były do pasa. Cały paletocik objęty plisą z fijołkowego fularu; rękawy u mankietów i epoletów przybrane odpowiednio pliską. Fijołkowy pasek odpowiadał całości.

Wiele jednak osób nie ufając czy się utrzyma moda krótkich sukien, nosi długie, podciągane na sznurki, lub też podpinane na rozmaity sposób. Między innemi uważaliśmy do podpięcia osobny pasek z czarnéj materji, śpięty z przodu, na rozetę jedwabną. Od tego pasa, spadało do koła sześć końców czarnych na podszewce, zakończonych w kształcie liścia. U dołu na tych końcach, były dziurki obdziergane, które zakładały się na guziki umieszczone u sukni nad obrębem. Jeden taki pas może służyć do podpinania kilku sukien, i nadzwyczaj jest łatwy do zrobienia.

Z pomiędzy sukien letnich, zwróciła uwagę naszą biała muślinowa, w przerabiane muszki, u dołu wycięta w wielkie zęby śpiczaste. Pod te zęby dany był wolant z gładkiego muślinu, zaprasowany w zakładki zakończony u dołu wąziuchną koroneczką kluny. Na zakończenie zębów dana była wstawka kluny, na niebieskiem podwleczeniu.

Paletocik takiż sam, wycięty był w mniejsze zęby u dołu, i przybrany węższym wolancikiem. Mankiety i epolety u rękawów odpowiedni miały garnirunek.

Inna sukienka także biała, przeznaczona dla młodéj panienki, z gładkiego muślinu, miała u dołu pięć zakładek jedna nad drugą—zwężających się stopniowo w miarę jak szły w górę. Stanik pod szyję z wykrojem czworograniastym, układany cały w podłużne zakładki, zakończony był w górze wstawką kluni, i wą-

ziuchnym brzeżkiem koronkowym. U rękawów odpowiednie mankieciki.

Suknie kolorowe muślinkowe mają zwykle szlak odpasowany u dołu i w około paletocika. Te które nie mają odpasowania przybierają wolancikiem z wypuszczoną główką.

Widzieliśmy także ładną suknię z szarego lenosu naszytą u dołu na każdym brycie pliskami z materji brązowéj przekładanemi na krzyż. W miejscu gdzie się plisy schodzą, dany szmuklerski guzik; plisy w koło obszyte czarną koroneczką. Stanik spięty na guziki w kolorze brązowym. Na ramionach i u ręki dane na krzyż podobne pliski.

Podobne suknie tak szare jak popielate, naszywane materją brązową, szafirową, lub fijołkową znajdują się w magazynie pani Kwiatkowskiéj i Penkali. Są do nich takież same chustki z odpowiedniem naszyciem.

Na ubranie codzienne zwłaszcza na wieś, używane powszechnie spódniczki z niewarowego płótna, naszywane białą lub czarną pletnią, z takimże samym paletocikiem. Na każdym brycie u dołu sukni idzie piramida wyszyta pletnią. U dołu paletocika na każdym szwie dane takież same piramidki, równie jak na kieszeniach, epoletach i ręki.

Noszą także do codziennego ubrania, spódniczki nankinowe wyszyte w lekki deseń pąsowym sutaszem. Pasek do nich podobnie wyszyty. Spódnica powinna być krajana w kliny. Miejsce stanika zastępuje koszulka z cienkiego holenderskiego płótna w zakładki, przybrana drobnym haftem, z takimże kołnierzykiem i mankietkami. Jest to najmodniejsze ubranie codzienne paryżanek. Suknie fularowe mają pierwszeństwo nad innemi. Widzieliśmy w jednym z pierwszych magazynów paryzkich dwie bardzo piękne zasługujące na szczegółowy opis. Jedna z nich w pasy ułożona z kwiatów, nie miała żadnego garnirunku, oprócz wypustki zielonéj jedwabnéj. Druga popielata w rzucik z drobniuchnych kwiateczków, przybrana była ruszką zieloną jedwabną, wystrzyganą w maszynie. Noszą także bardzo suknie gładkie fularowe, w kolorach: niebieskim (bleu de Chine), seledynowym, fijołkowym, i srebrno-popielatym. Bardzo też piękny fular biały w rzucane snopeczki z kłosów, zwany *Żniwiarka* (moissonneuse).

Paletociki letnie z czarnego kaszmiru naszyte paciorkami z lawy i obszyte frendzelką, powszechnie używane. W ogólności bardzo są krótkie.

Małe dziewczynki ubierają w sukienki z lekkiéj popeliny popielatéj, naszyte nad obrębem aksamitką czarną, lub kolorową, przeszywaną białemi guziczkami. Paletocik do tego odpowiedni.

Paski czarne średniéj szerokości, naszywane w deseń paciorkami z lawy, należą do najmodniejszych, zamiast klamerki spinają się na rozetę z czarnéj materji.

Forma chusteczek, (fanszoników), najwięcéj przyjęta na czepeczki. Włosy w kokach spadają z pod spodu, pokryte niewidzialną siateczką. Na rano takie czepeczki robią z muślinu przeszywane wstawką kluny. Do ubrania naszywają cały fanszonik ruszką z illuzji drobniuchno fałdowaną. Końce spadające po bokach takąż naszyte ruszką. Wśród tych ruszek zasiane są w odstępach drobne kwiateczki, stokrotki, fijołki, niezabudki i t. p.

Młode panienki noszą okrągłe kapelusiki *Tudor*, przybrane wieńcem z pawich piórek, albo liści bluszczowych.

Kapelusze tegoroczne coraz się więcéj zmniejszają. Nie pojmujemy nawet dokąd ta moda w końcu dojdzie. Przytaczamy kilka najświeższych.

Kapelusz zielony krepowy, przybrany czarnym koronkowym fanszonikiem pokrywającym go zupełnie. Podpięcie z fałdowanéj krepy zielonéj, z boku nad czołem wpięty kwiat wodny. Szarfy zielone. Drugi fanszonik niebieski krepowy przepinany słomą, na wierzchu bukiet z naturalnych kłosów, do tych przyczepione maleńkie owadki, jakie się zwykle w zbożu napotykają, podpięcie nad czołem stosowne. Szarfy niebieskie, objęte z jednéj strony frendzelką słomkową.

Kapelusz z włosienia białego przybrany bukietem z bzu lilla, pod spodem takaż gałązka tworzy diadem. Przy twarzy lekko ufałdowana illuzja, szarfy z wstążki białéj.

Kapelusz *Lamballe* ze słomy ryżowéj, opasany wieńcem z drobnych winogron ciemnych jakby pyłem okrytych. Szarfy koloru *maïs*.

Kapelusz *Lamballe* słomkowy, przybrany aksamitką pąsową i wieńcem z porzeczek z liśćmi koloru słomy. Szarfy pąsowe.

Kapelusz *Empire*, z białego tiulu jedwabnego przepinany w odstępach czarną wązką na cal wstążką. Na téj wstążce, dane w odstępach rzędem drobniuchne różyczki. Szerokie szarfy illuzjowe, przepięte pod brodą bukiecikami z różyczek.

S. D.

Opis deseni mogących zarówno służyć do wyszycia siatek, jak i na roboty szydełkowe lub ściegiem krzyżowym włóczkami w dwóch odmiennych kolorach.

N. 1. Deseń na serwetę siatkową albo poduszkę do roboty krzyżowéj. Tło można dać z czarnéj, ciemno brązowéj lub szafirowéj włóczki, a deseń tego koloru, w jakiem jest pokrycie na meblach.

N. 2. Deseń na męzką torebkę podróżną. Druga strona powinna być skórzanna. Klamerka przy tym stalowa lub mosiężna.

N. 3 i 7. Szlaki do rozmaitego użytku na siatkę; włóczką odrobione służyć mogą na pasy do dzwonków, czapeczki męzkie, szlaki do taboretów, portjery i t. p.

N. 4. Deseń do roboty perełkowéj na pudełko do chowania rękawiczek.

N. 5. Kwadraciki siatkowe zrobione na cienkim wałeczku, służą w połączeniu z takiemiż kwadracikami batystowemi ozdobionemi haftem, na serwetki do pokrycia kanapy, foteli, krzeseł lub stolika. W około obszywają się serwetki takie, frendzlą bawełnianą. Do téj roboty użyć należy nici kręconych N. 60 wałeczek mający obwodu 1 centymetr.

N. 6. Szlak na serwetę siatkową.

Opis formy paletota dla panienki 14-sto letniéj i baskiny przypinanéj do gładkiego stanika.

N. 1. Przednia część baskiny do paska.

N. 2. Boczek do przodu baskiny.

N. 3. Boczek do tyłu baskiny.

N. 4. Połowa tyłu baskiny,

N. 5. Połowa paska do baskiny. — Litery dokładnie wskazują jak wszystkie części zeszyć należy.

N. 6. Całość baskiny.

Do sukien szczególniéj z grubszych materjałów wełnianych, baskiny przypinane okazały się bardzo praktycznemi, tworząc razem z gładkim stanikiem paletot do figury. Wzór nasz przedstawia baskinę do sukni popielatéj, z wyrobu zwanego drap d'or, obszytą naokoło grelotkami.

N. 7. Przód paletota wcinanego do figury. Klapka stanowiąca kieszeń krajana jest z téj saméj sztuki co i przód paletota.

N. 8. Boczek do przodu.

N. 9. Boczek do pleców.

N. 10. Połowa pleców.

N. 11. Wierzchnia część rękawa do paletota.

N. 12. Spodnia część rękawa.

N. 13. Połowa kołnierzyka.

N. 14. Mankiet.

Kopjując formę baczyć należy, aby części założone dokładnie wyciąć z bibułki i uformować całość. Po zeszyciu paletocika podług liter okaże się, że przody znacznie są krótsze od innych części, co właśnie stanowi nowość formy, udzielonéj nam przez p. Kuhnke. Model sprowadzony z Paryża zrobiony był z czarnego *poult de soie* objęty w koło wypustką i podszyty brzegiem z lewéj strony skośną pliską jedwabną. U jednego takiego paletocika przody, krótsze niczem nie były obszyte, u drugiego zaś garnirowane czarną koronką téj szerokości, aby wyrównywała innym częściom paletota. Guziki czarne lawowe z biustami dopełniały całości.

N. 15. Figura przedstawia stanik z baskiną przypinaną.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY
ŻYCIA SPOŁECZNEGO, LITERATURY
I
SZTUK PIĘKNYCH

POD REDAKCJĄ

Adama Wiślickiego.

Czasopismo pod tym tytułem istniejące od początku roku bieżącego, wychodzić będzie i w Kwartale III. Zawiera ono:

1) Artykuły wstępne dotykające najważniejszych kwestij życia społecznego. Z tych w kwartałach ubiegłych pomieszczono: O potrzebie pism popularnych; O obmowie; Nasz współudział w powszechnéj wystawie paryzkiéj; O wystawie ogrodnictwa w Warszawie; Zbytek w strojach; Podwyższenie komornego; Teatr ludowy; Projekt wystawy przedmiotów szkolnych; Gabinety do czytania; i t. d. — Wkrótce zaś umieszczone będą: Wielkie czy małe gospodarstwa wiejskie? Sprzedać dobra czy pożyczyć? W kwestji szkoły głównéj; O własności literackiéj i prawach przekładów i t. d.

2) Kroniki krajowa i zagraniczna oraz korespondencje z Lublina, Radomia, Kielc, Suwałk, z pod Żarek i inne z kraju. Stałą rubrykę zajmują korespondencje ze Lwowa i z Krakowa.

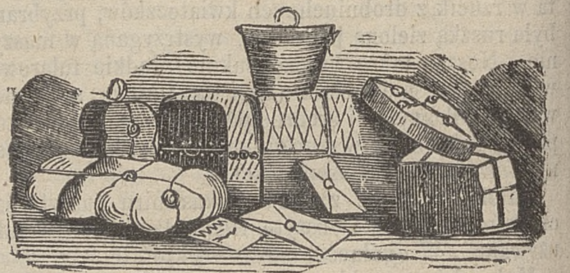
3) Rozprawy z życia bieżącego. Z tych pomieszczono: Listy z ulicy; Niezależność kobiety; Rzuty i t. d. Znajdują się przygotowane do druku: O nauczycielstwie początkowem; Kobieta i gospodarstwo wiejskie i t. d.

4) Powieści i humoreski. Dotychczas drukowaliśmy Historję kamienia przy drodze, opowiadaną kołkowi w płocie, przez Zbigniewa autora Pamiętników Muchy, Staréj panny i t. p. pierwszorzędnych powieści. Obiadowa godzina, przez Wł. Sab... i inne. Pomieszczenia oczekują: Między ziemią a niebem, przez Zbigniewa; Korrepetytor; Szczeble do karjery, oraz kilkanaście nowelli z Nathaniela Hawthorn, Alarkona i t. d. wybranych.

5) Sprawozdanie krytyczne z literatury, sztuki i t.d.

6) Najnowsze wynalazki tak krajowe jak i zagraniczne. Dział ten rozszerzony zostanie opisami praktycznych zajęć, korzyści i przedsiebierstw, korzyści krajowi i przedsiebiercom przynieść mogących.

Prenumerata, przeglądu wynosi kwartalnie na prowincji rs. 1 — a z opłatą koperty rs. 1 kop 50. Prenumerować można na wszystkich stacjach i wprost w Redakcji.



Pani A. Plu. żądane książki jako wyczerpane nie znajdują się w tutejszych księgarniach. Z prenumeraty pism zostało rs. 1 kop. 25.

Pani Ceza. Kra. Do prenumeraty należy się Redakcji rs. 2 kop. 50.

Listy i przesyłki pieniężnê na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do wyszycia siatek oraz forma paletota i baskiny przypinanéj.

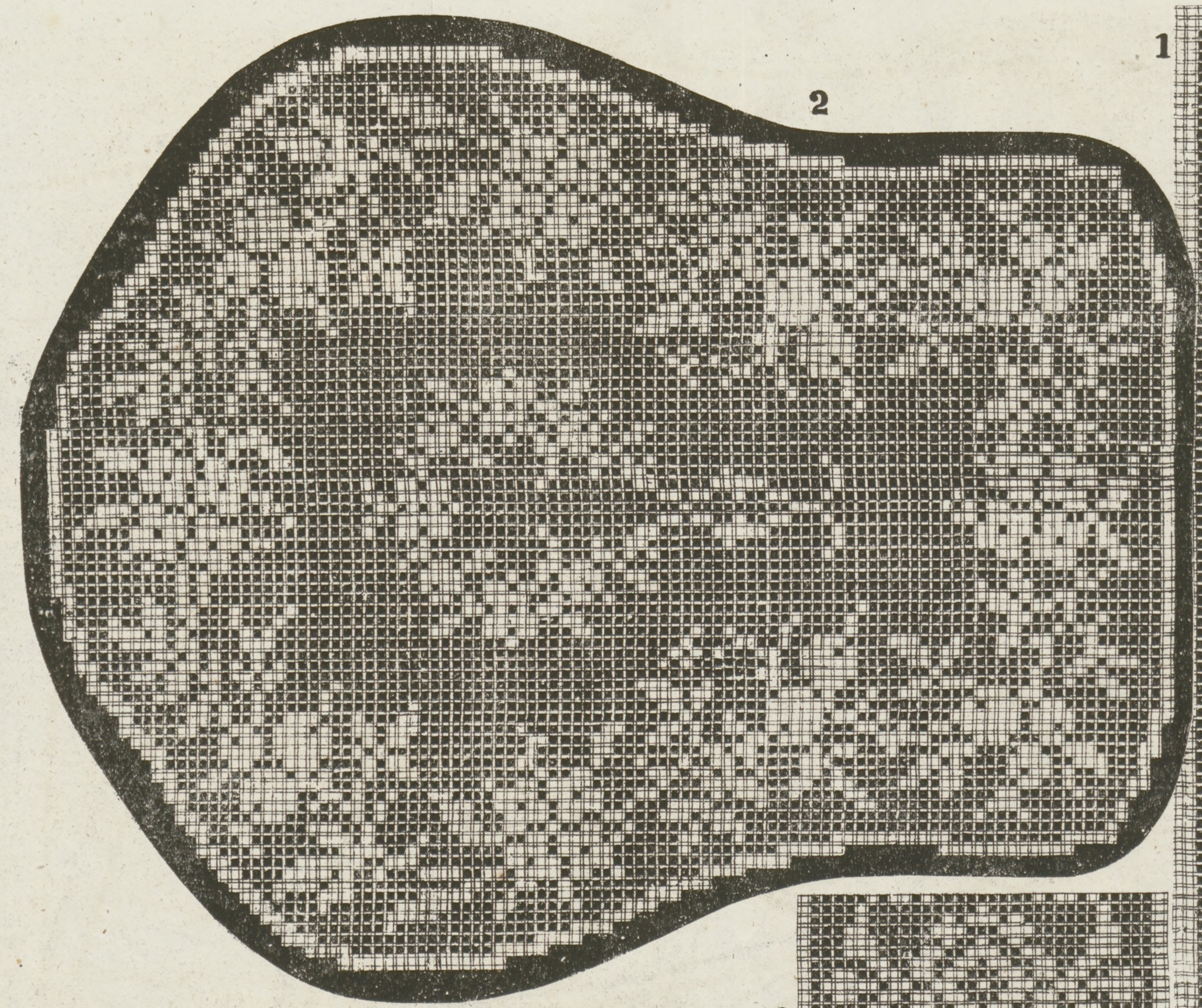
w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

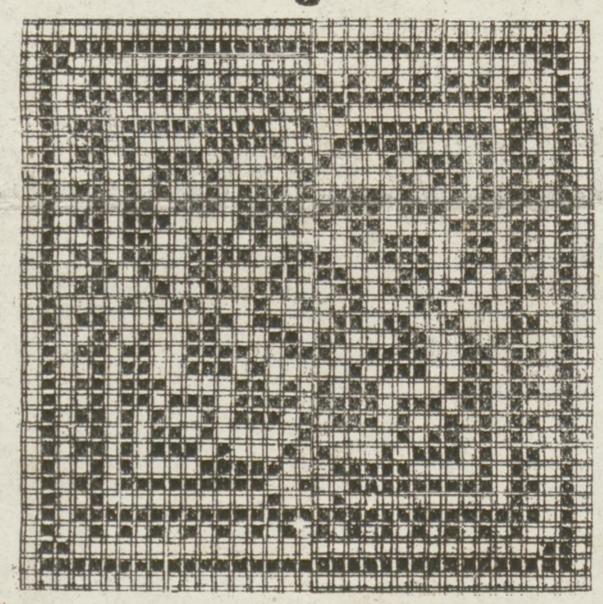
1



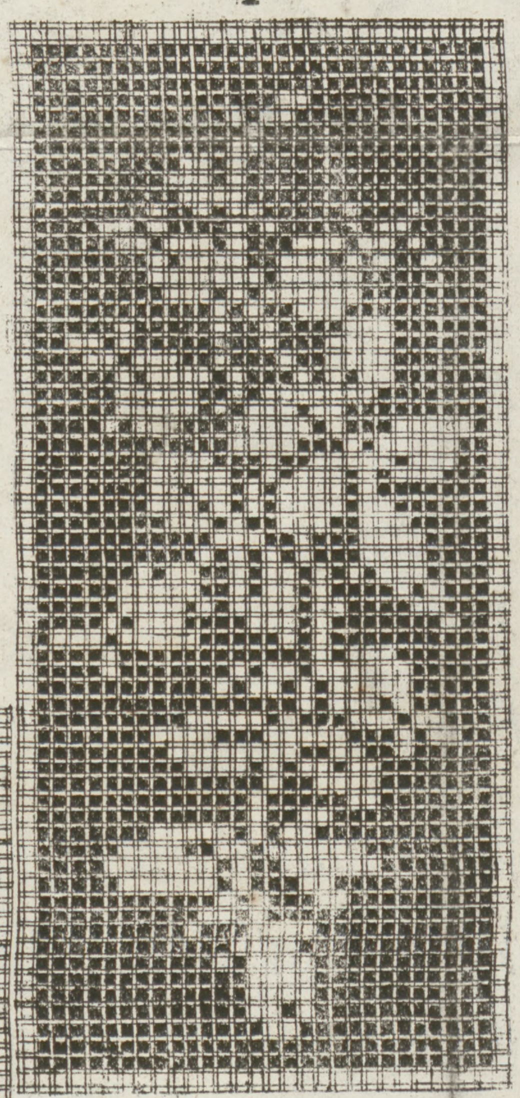
2



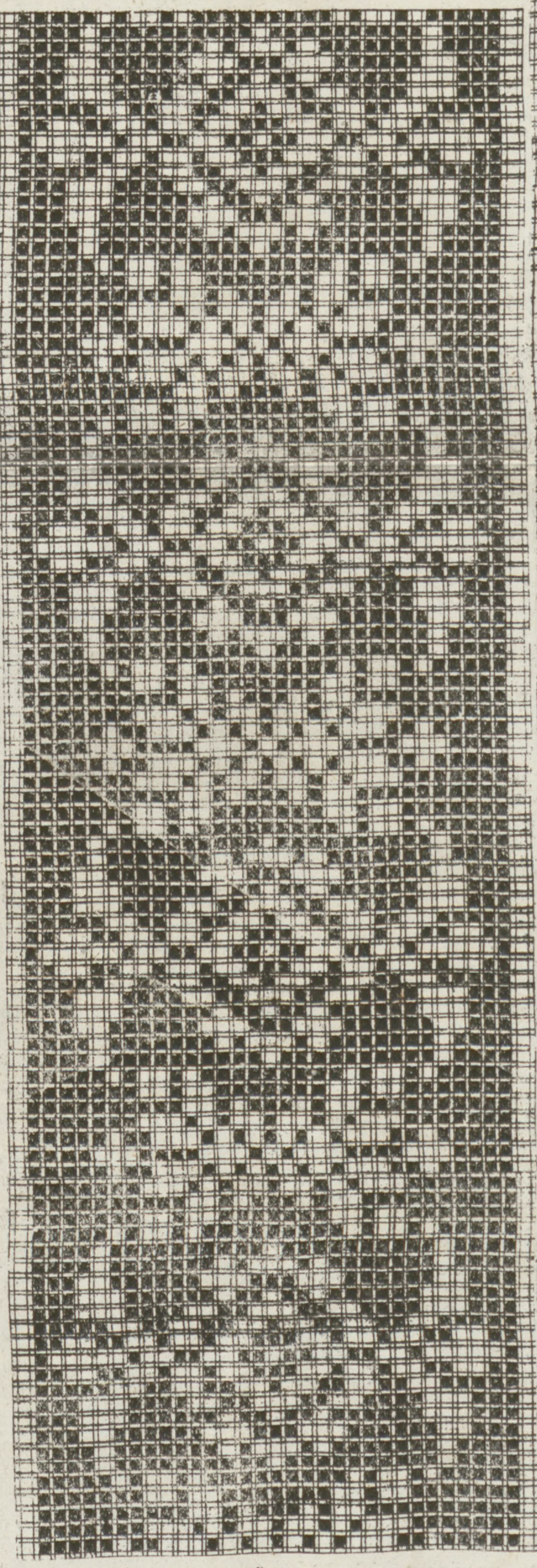
5



4

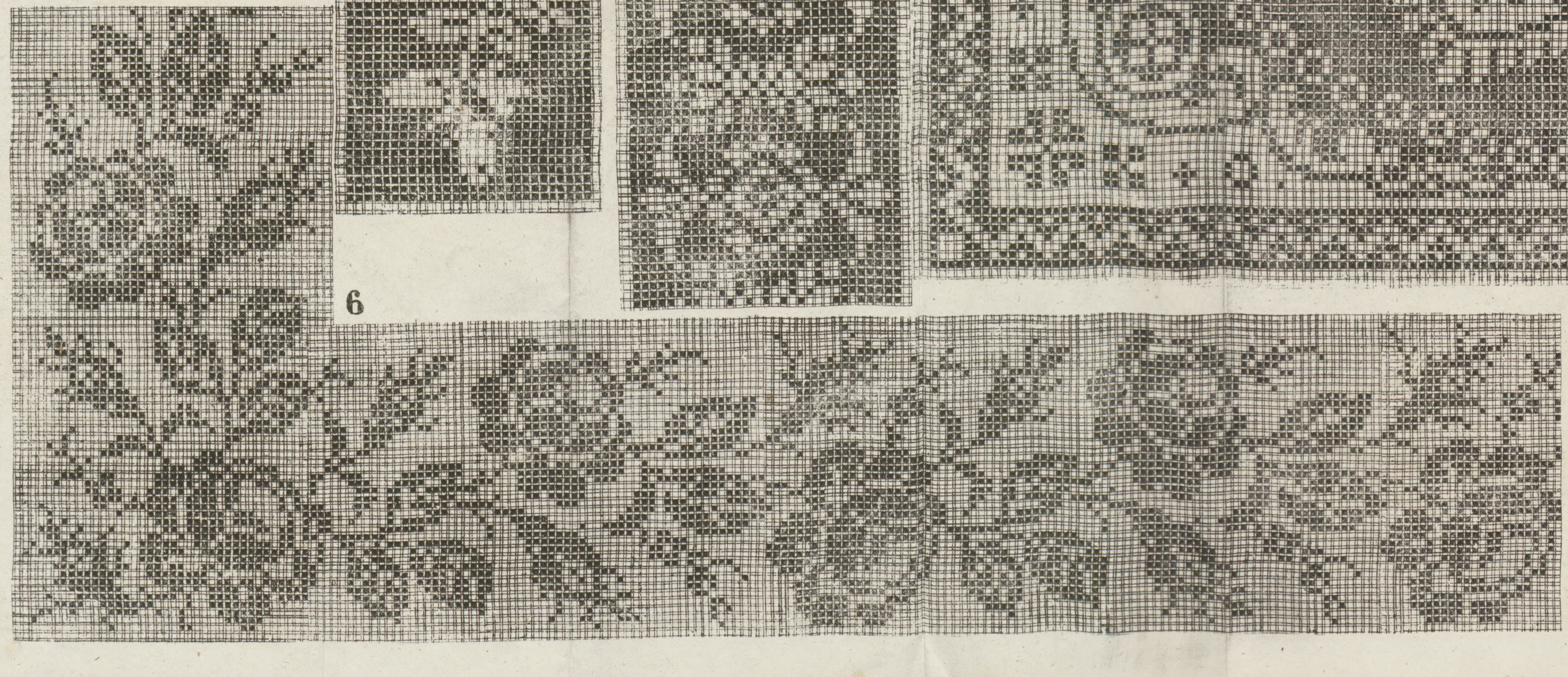


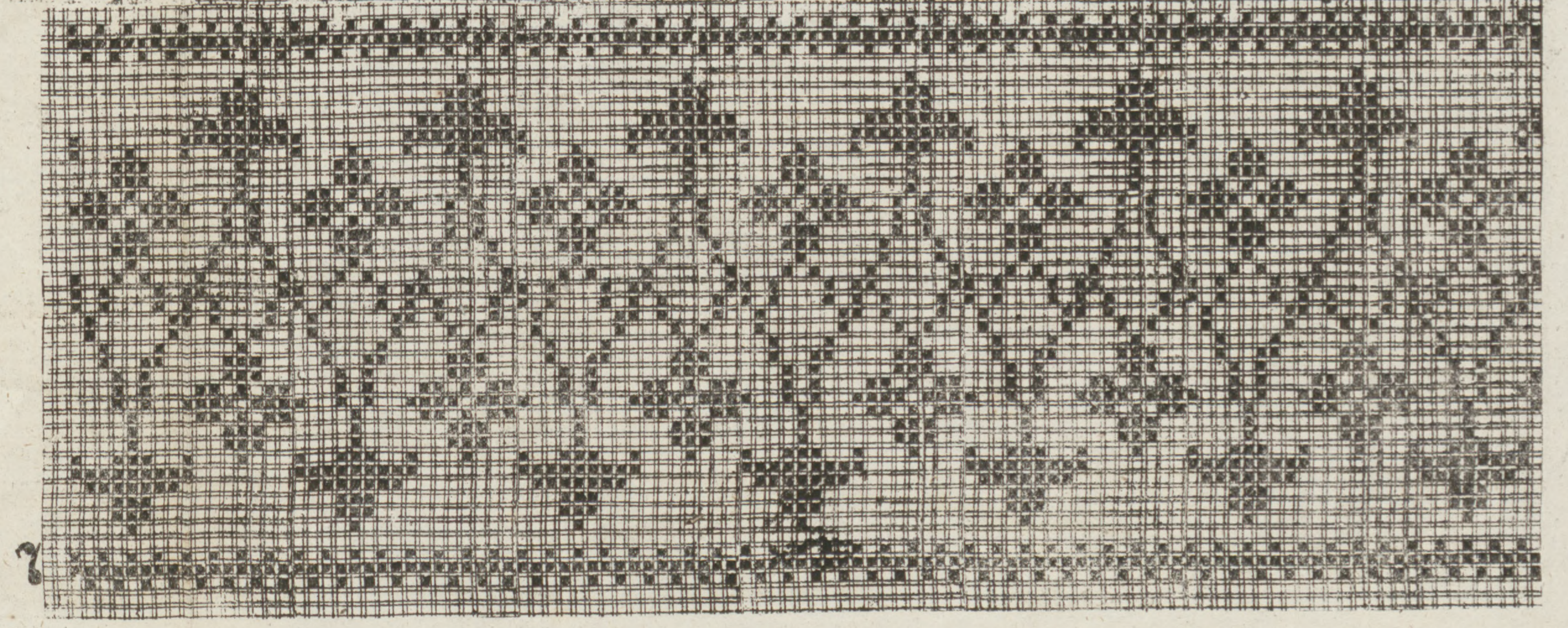
3



N°170. TYGODNIK MÓD
w Warszawie.

6





7

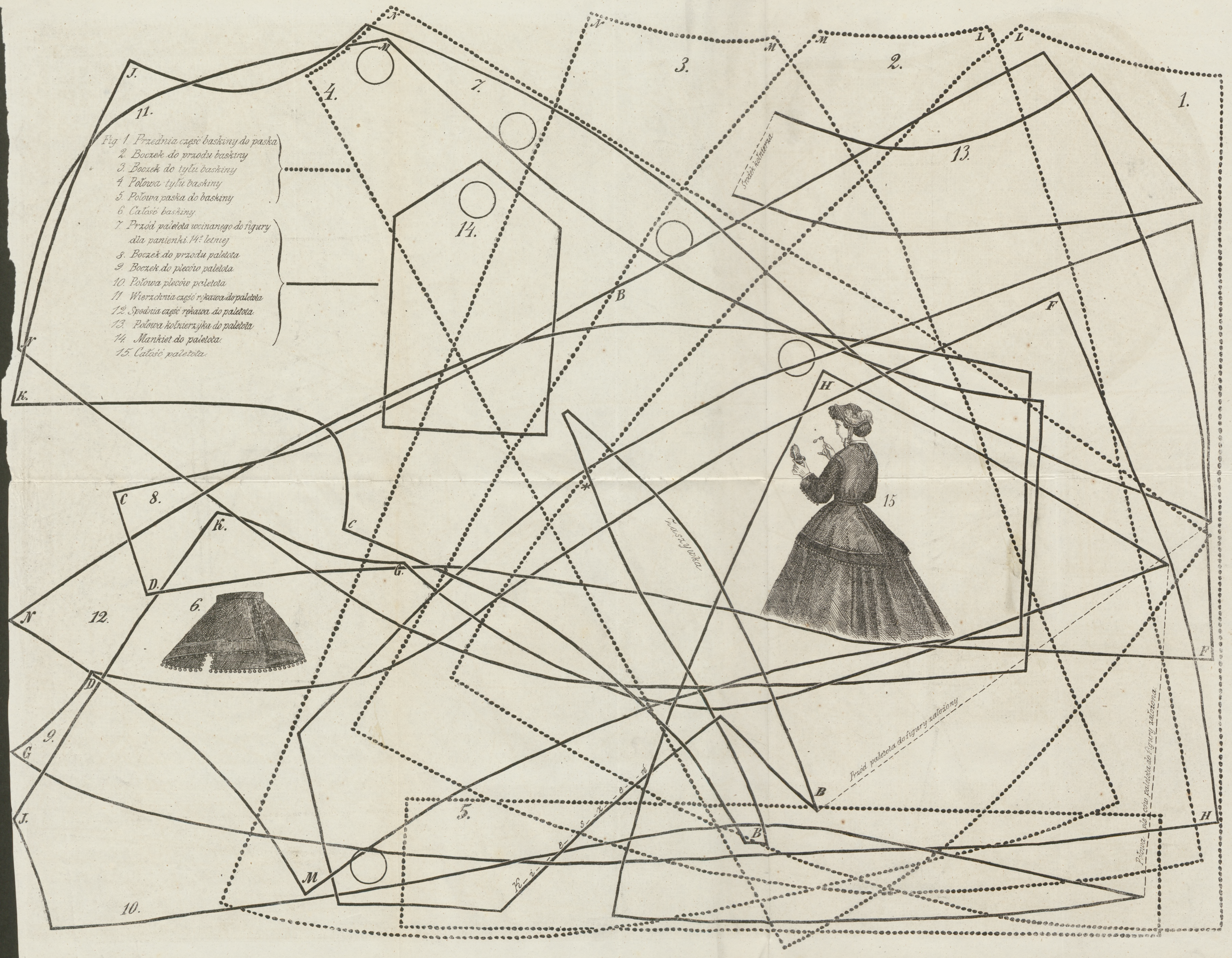


Fig. 1. Przednia część baskiny do paska
2. Boczek do przodu baskiny
3. Boczek do tyłu baskiny
4. Połowa tyłu baskiny
5. Połowa paska do baskiny
6. Całość baskiny.
7. Przód paletota wcinanego do figury dla panienki 14ᵒ letniej
8. Boczek do przodu paletota
9. Boczek do pleców paletota
10. Połowa pleców paletota
11. Wierzchnia część rękawa do paletota
12. Spodnia część rękawa do paletota
13. Połowa kołnierzyka do paletota
14. Mankiet do paletota
15. Całość paletota
Przód paletota do figury założony

Dodatek do Nr. 26 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 18 (30) Czerwca 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Wszystkie wyższe dążności i pragnienia, są w jéj oczach niedorzecznemi wymaganiami; minęły już czasy sylfów i wieszczek, trzeba umieć godzić się z rzeczywistością; trochę dobréj woli i poddania a łatwo oszczędzić sobie wiele cierpień i niebezpieczeństw, i nie wyrzekać na złe, z obawy żeby nie było gorzéj. Najpierw chciała załatwić *sprawę sumienia* pana Dolfin, teraz znowu umyśliła sobie ułożyć moje *sercowe sprawy*. Sposób bardzo łatwy: powinnam pożegnać się z marzeniami, stłumić głos serca, i przystać skwapliwie na pierwszy lepszy układ, ponieważ, jak to mówią, lepsza słomiana zgoda, niźli złoty proces. Oto zasady według których postępowała zawsze, które i we mnie wpoić pragnie.

Ciągle stał mi w oczach obraz pani d' Estrel zalanéj łzami, a jakkolwiek postanowiłam nie ustąpić jéj w niczem, żałowałam jednak szczerze iż zasmuciłam ją tak mocno, okazując przesadnie, że nie wierzę w jéj dobre dla mnie chęci. Kazałam zaprządz i pojechałam do Chamaret. Przyjechawszy dowiedziałam się że pani d' Estrel jeszcze nie wróciła, postanowiłam czekać na nią, weszłam do salonu, i nad wszelkie spodziewanie zastałam w nim pana Dolfin.

Spostrzegłszy mnie wchodzącą zadrżał: zdziwienie, radość, boleść, jednocześnie odbiły się w jego twarzy.

— Ty pani! zawołał, widocznie ręka Opatrzności czuwa nad nami; kieruje twojemi kroki, i już drugi raz dozwala mi spotkać ciebie. Ach! powiedzże mi nareszcie.... muszę raz już wiedzieć.... ta niepewność mnie zabija.... Cóż to za okropny list pani d' Estrel napisała do mnie! przybiegłem lotem strzały żądać objaśnień. Wyrzuca mi że narażam panią na straszne niebezpieczeństwa, że chodzi nawet o twoje życie.... i w imie twego szczęścia, twéj spokojności, zaklina abym się oddalił....

Widać wybuch gniewu zabłysł w moich oczach, bo nagle przestał mówić, spuścił głowę, i stał w milczeniu miotany zarazem obawą i nadzieją.

— Cóż to, czyż jestem pod kuratellą? zawołałam unosząc się, nie patrząc na niego i mówiąc jakby do siebie saméj: Długoż jeszcze znosić będę taką tyranię i natręctwo? Jestem wolna, zwolniono mnie ze wszystkich powinności i obowiązków, dziś sama do siebie należę, mogę rozrządzać sobą jak mi się podoba, i czas już abym przekonała ich o tem.

— Więc pani nie upoważniłaś pani d' Estrel do napisania tego listu! zawołał podnosząc głowę, i niewysłowiona radość zajaśniała na jego czole; nie śmiał jednak poddawać jéj się i rzekł do mnie wzruszonym i złamanym głosem:

O! pani nie każesz mi pożegnać się na zawsze! Jesteś wszechwładną panią, możesz rozkazywać, jedno słówko, jedno spojrzenie, a będę posłuszny; ale na cóż miałabyś żądać tego? Jeśli niebezpieczeństwo jakie zagraża tu pani, jedźmy, uciekajmy razem! Jest gdzieś w wszechświecie ciche ustronie gdzie szczęście nas czeka; świat nas potępi, ale cóż nas to obchodzi? W snach moich widziałem to błogosławione ustronie, i coś mi mówi, że tak chciały przedwieczne wyroki, że tak powinno być i tak będzie. Dzisiejszej nocy obudziłem się z głośnym krzykiem; zdawało mi się że słyszę tentent dwóch koni unoszących nas gdzieś w odległą pustynię..... Spójrz pani na mnie; czyż nie czytasz w moich oczach że dusza moja do ciebie należy, że zawsze i wszędzie posłuszną ci będzie, że dziś świętem jest dla mnie wszystko co tylko zażądać możesz? że jesteś moim światem, bóstwem, wiarą, przyszłością!..... Dziwneż bo to serce moje! gdyby miłość zamiast krzyżów i boleści obiecywała mu jakieś rozkosze, pewnie nie tak gorąco upragnęłoby kochania. O pani! przysięgam ci na moją przeszłość, na moją przyszłość, na tę zadziwiającą zmianę zaszłą w mojem sercu, na to czem byłem i co zamarło bezzwrotnie, i na to czem dziś jestem dzięki tobie, przysięgam, że nie żądam jak tylko zaufania i przyjaźni twojéj; jeśli potrzeba, potrafię zabić nawet nadzieję; przyjaciela tylko widzieć będziesz we mnie, przyjaciel tylko towarzyszyć i mówić do ciebie będzie. Może w chwilach nieobecności twojéj, *drugi* całować będzie ślady nóg twoich pozostałe na piasku, ale ty nigdy o tych szaleństwach wiedzieć nie będziesz. Żyć przy tobie i obok ciebie, choćbym miał co dzień czynić ofiarę z mego serca i skazywać go na męczeństwo, cóż to za radość i rozkosz! Jeśli świat dowie się o naszem samotnem schronieniu, nie uwierzy w cud świętéj, czystéj przyjaźni naszéj, ale niech szydzi i znieważa, my całkiem zajęci sobą, ani widzieć ani słyszeć tego nie będziem... Jakiż pani wydasz wyrok? co usłyszę z ust twoich? jak ukarzesz moją zuchwałą śmiałość? czy zgnębisz mnie ciężarem swego gniewu lub litości?... O! wiem jak maluczkim jestem sam

przez się, ale władająca mną namiętność jest czysto niebiańska, zapisana w tajnikach przeznaczenia; ona to mówi przez moje usta, nie prosi, ale wymaga i rozkazuje.... Ciągle mi w myśli stoją te dwa galopujące konie, i któż to zesłał mi sen taki?.... Nie, my tu nie jesteśmy sami; jest z nami ktoś trzeci, który niewidzialnym palcem wskazuje nam drogę życia.....

Przez chwilę zapomniałam kto i gdzie jestem, ten głos mówiący mi o ucieczce i samotnem we dwoje życiu w pustyni, odebrał mi przytomność. I wyobrażałam sobie samotny domek, ukryty i nieznany światu, a w nim dwie kochające się istoty, które miały tam żyć i umierać. Z uczuciem zawiści podziwiałam ich szczęście, spokój w jakim upływało im życie, ścisłe połączenie tych dwojga dusz, które jedną tylko stanowiły, cichość i milczenie otaczające ich w około, niewysłowioną słodycz ich poufałych rozmów, i te niewyczerpane rozkosze serca; lecz gdy zwróciłam myśl do siebie i powiedziałam sobie: Te dwoje istot, to będzie on i ja!.... dreszcz mnie przebiegł, przeraziło mnie niewymownie to marzenie doskonałego szczęścia; nie potępiałam go wprawdzie, ale odsuwałam w niedoścignioną okiem ciemną oddal, jak gdyby z natury swéj z daleka tylko przyglądać mu się należało, i cieszyłam się niemal że wszystko w życiu mojem było jeszcze w zawieszeniu.

Pan Dolfin, wlepiwszy we mnie swe ogniste oczy, czekał wyroku jaki wydać miałam, już sama nie wiem co byłabym odpowiedziała, gdy w tem w przedpokoju dał się słyszeć głos dwóch rozmawiających osób, drzwi się otwarły i weszła pani d' Estrel w towarzystwie Maxa, któremu oddała żądane zeznanie pana de Malombré. Osłupiała zobaczywszy nas, a w tem zdziwieniu przebijał się poniekąd gniew i oburzenie, ponieważ mogła przypuszczać, że była to umówiona w jéj domu schadzka.

Co zaś do Maxa, ten pewnie w życiu swojem nie dał dowodu większéj mocy i panowania nad sobą; postawa jego nie zdradzała najmniéjszego przymusu lub wymuszenia, ukłonił się lekko panu Dolfin, i zbliżając się do mnie z uśmiechem, rzekł pół-głosem: Mężów i przeznaczenia nie podobna uniknąć,“ poczem usiadł, i chyba tylko nabrzmienie żył na skroniach i pewne, znane mi już zmarszczenie brwi, dowodziło jaki gwałt zadawał sobie. Pan Dolfin był blady ale spokojny, wejrzeniem zapytywał mnie co ma czynić; byłam tak pomieszana, że nie byłam w stanie mu odpowiedzieć; przeczuwałam walkę mającą wybuchnąć lada chwila, i drżałam na samą myśl, że siły mogą być nierówne.

Pani d' Estrel pierwsza dała hasło do ataku: widać była mocno rozgniewana, skoro zapomniała wrodzonéj sobie dobroci i delikatności.

— Znasz już pan, pana Dolfin, rzekła przedstawiając go ruchem głowy; zdaje mi się, że opowiedziałam ci jego historję.

— Winienem przeprosić pana, rzekł Max, jeśli się nie mylę proponowałem panu pewnego wieczora abyś wszedł do moich usług; zdaje mi się ofiarowałem mu miejsce pomocnika przy moim ogrodniku. Jednak muszę powiedzieć na swoją obronę, że byłeś pan wtedy ubrany w chłopską sukmanę, a wieczór był dość ciemny.

— Czasami dziwne miewam fantazje, odrzekł pan Dolfin łagodnym ale pewnym głosem; ale choć niekiedy zmieniam ubiór, za to nigdy nie zmieniam mieszkania. Mieszkam w Réauville, na wzgórku w małym odosobnionym domku, który pan zauważałeś; jeźli chciałbyś pan kiedy inne zaproponować mi miejsce, lub gdyby wzięła go ciekawość poznać mnie bliżéj, możesz być pewnym, że zawsze mnie tam zastaniesz.

— Dziękuję panu, ale obecnie za nadto jestem zajęty, odpowiedział Max z pyszną obojętnością. Marzę tylko o owych dwóch wilkach; gdzież one są? gdzie się obracają?... jestże dowiedzionem że nie były to dwa zające?.... Prawdę mówiąc zwierzęta wydawały mi się zawsze więcéj zajmujące niż ludzie.

„Wąż ma swoje obyczaje, walki, swoją miłość...

— Ale Bóg oszczędził mu skrypułów sumienia, powiedziała pani d' Estrel. Ach! cóż to za dziwna, niepojęta choroba! Czy uwierzysz, margrabio, że wbrew najusilniejszym prożbom rodziny, wbrew moim perswazyom, pan Dolfin, dziś więcéj niż kiedykolwiek, zdecydowany jest zostać trapistą. Wiesz co, margrabio, bądź naszym sędzią polubownym, staraj się przekonać to biedne dziecko, byłabym tak szczęśliwa gdybym mogła powrócić go matce.

Biedne dziecko już, już miało wybuchnąć; był, że tak powiem, jak na mękach, usta mu drgały, ale wejrzenia nasze spotkały się, i zapanował nad sobą.

— Pani, odpowiedział ze smutnym uśmiechem, nie wątpię że pan de Lestang jest bardzo biegłym kazuistą, ale sam oznajmił przed chwilą, że obecnie jest zajęty wyłącznie swymi dwoma wilkami; a zresztą tajemnice mego sumienia nie mogą być przedmiotem pogadanki, byłby to za smutny i za poważny temat, nawet dowcip pana de Lestang, nie zdołałby uczynić go zabawnym i wesołym.

— Pan Dolfin ma zupełną słuszność uznając mnie za niekompetentnego sędziego, odparł Max. Nie znam się nic na obcych sprawach, zaledwie swoje własne pojąć umiem. Zresztą za nadto znam świat by się czemukolwiek dziwić lub ganić; wszystko po większéj części zależy od punktu z jakiego się zapatrujemy, i z tego stanowiska wszystko da się usprawiedliwić i pojąć; klasztor Trapistów i bale à la Chaumiere, księżniczka Badroulbadour i Małgosia, don Juan i Celadon, anioł i bydlę, noc i dzień, *Miserere* i śpiew słowika, miłostki i miłość platoniczna, wszystko to da się pogodzić z sobą. Dobra to rzecz życie, ale któż wie czy śmierć nie ma w zapasie żywszych jeszcze uciech i rozkoszy? Śmiech rozwesela, ale poeci znowu utrzymują, że świat widziany przez łzę, przedstawia im niewypowiedziane piękności. Tak więc w téj powszechnéj niepewności najlepiéj niech każdy radzi się swego humoru i upodobań; tylko co bądź wybierze, trzeba żeby wiedział co robi i gotów był przyjąć wszelkie następstwa.

— Dobrze pan mówisz, odrzekł pan Dolfin, tylko gdybyś mnie znał bliżéj, nie wątpiłbyś że doskonale wiem co robię, i doskonale przewiduję i przyjmuję wszelkie następstwa.

— Oh! zawołała pani d' Estrel, łatwo to mówić, ale są następstwa, których odgadnąć ani przewidzieć nie podobna. Zdaje nam się, że jesteśmy pewni siebie, ale zapominamy o *téj wszystko pochłaniającéj gorączce czasu.* Chóbyśmy najlepiéj uprawiali nasz ogród, zawsze wyrosną w nim gdzieś ciernie i głogi, a któż zaręczy, że i w duszy naszéj nie powstanie z czasem żal, niesmak i wyrzuty sumienia?.... Zakli-

nam cię więc, kochane dziecię, nie postępuj nierozważnie, zostaw sobie czas do namysłu; wybierz się w daleką podróż; nowe widoki, nowe obrazy, rozproszą twój smutek, zapomnisz o nim powoli, i może od dziś za rok powiesz sobie uderzając się w czoło: Jestżem tym samym szaleńcem, który mniemał się dotkniętym nieuleczoną chorobą?...

Co do mnie, rzekł Max, nie koniecznie wierzę w skuteczność podróżowania. Pierwsze nasze pojęcia, ideje wypieszczone w młodocianym wieku, pozostawiają w umyśle niezatarte ślady; możem póżniéj mieć rozliczne zachcianki i kaprysy, ale prędzéj czy póżniéj wrócimy do pierwszych naszych uczuć. O! tak pani, kogo raz klasztor Trapistów nieprzepartym ku siebie pociągnął urokiem, ten bądź co bądź zamknie się w końcu w jego murach. Czy się poddajem czy nawet silny stawiamy opór, daremnie, wszystko daremnie, nikt nie uniknie swego przeznaczenia. Zresztą, dobrze to nawet żeby kandydat na Trapistę używał nieco świata; są przygody, które że tak powiem, nadają pewne stanowisko, a im większe były grzechy tem większéj wrzawy narobi nawrócenie, co już samo przez się nie małą stanowi korzyść, bo jak mówił Voltaire, „nie ma nic nieprzyjemniejszego, jak być powieszonym cicho i bez rozgłosu.“ Dodajmy jeszcze, że nawet pomijając kwestję chwały i rozgłosu, sama przezorność nakazuje nagromadzić zapas materyałów, aby było za co pokutować i żałować.... Jeden z moich przyjaciół, hrabia de L* wielki dziwak i fantastyk, nagle, pewnego pięknego poranku, uczuł się dotknięty jakiemiś wyrzutami sumienia.. Zrywa więc ze światem i jego uciechami, i zaczyna całe dnie odmawiać rożańce i przesiadywać w kościele; nie dość na tem, niezadługo niknie gdzieś bez śladu; wszyscy byli przekonani że ukrył się w jakiéjś pustelni, aby tam spokojnie opłakiwać swoje grzechy..... aż tu w jakiś czas spotykam go we Włoszech, między Rzymem a Florencją, podróżującego sam na sam z jakąś brunetką z ognistem wejrzeniem. No cóż; kochany hrabio, czy jeszcze myślisz o pokucie i klasztorze? zapytałem. Widzisz przecie margrabio, że zgromadzam materyały, odpowiedział. Mówił to żartem, a jednak, w dwa lata póżniéj został zakonnikiem. Nie umiem powiedzieć co pomyślała o tem namiętna brunetka.

Pan Dolfin zerwał się z krzesła, zbrakło mu już cierpliwości; nie wiem coby był powiedział lub zrobił, postać jego bowiem zdradzała człowieka posuniętego do ostateczności, który już odtąd tylko rozpaczą i gniewem powodować się będzie. I ja także podniosłam się aby w razie potrzeby nie dopuścić starcia. W tem drzwi się otworzyły i wszedł zupełnie nieznany mi duchowny; zobaczywszy go, pan Dolfin, cofnął się a następnie postąpił ku niemu, mówiąc:

— Co tu robisz kochany księże Néraud?

— Przybywam w prost z Korfu, odpowiedział, kłaniając mu się z uszanowaniem, i jadąc do ciebie do Reauville, wstąpiłem tu złożyć moje uszanowanie pani d' Estrel, i uiścić sie z poleconego mi do niéj posłannictwa.

I obracając się do pani d' Estrel która powitała go podaniem ręki, dodał:

— Czy pani nie uprzedziłaś pana Dolfin o mojem przybyciu?

— Jakkolwiek pani Dolfin doniosła mi, że pan wyjeżdżasz w celu przekonania *kochanego naszego chorego* aby nie działał nierozważnie i nie opuszczał matki i rodziny, obawiałam się jednak aby wiedząc zawczasu o przybyciu pana, nie popełnił *jakiegoś wybryku*, któryby już odwrót niepodobnym czynił.

Te słowa pani d' Estrel dziwne jakieś wrażenie wywarły na księdzu Néraud; i całe obejście i nawet ton jego mowy przekonywały, jak wielką względnością i szacunkiem otaczał dawnego swego ucznia; co tym więcéj było uderzającem, że fizyognomja jego zdradzała człowieka nawykłego do przewagi, jeden z tych umysłów co to nie wiele tworzą idej, ale są panami raz wytworzonych, i tym sposobem zyskują nieprzeparty wpływ na umysły rządzone i niepokojone takiemiż ideami. Zresztą pan Dolfin od dawna już przestał być uczniem księdza Néraud, i być może iż dawny mistrz, nawet probując walczyć uwielbiał jednak ten charakter samoistny, który umiał zrucić z siebie jego jarzmo i nie uledz jego napomnieniom; spojrzał więc na panią d' Estrel z zadziwieniem któréj wywołało uśmiech na usta pana Dolfin.

— Tak, tak, jestem tylko szaleńcem, kochany księże Néraud, rzekł wstrząsając głową i rozrucając gęste pierścienie swych pięknych włosów; a spojrzawszy na Maxa dodał: — Ale są święte szaleństwa, którym wolno gardzić mądrością ludzi światowych i lichemi anegdotkami ludzi dowcipnych: — Daléj biorąc pod rękę księdza Néraud, rzekł z wymuszoną wesołością: Odłóż pan na póżniéj swoją konferencję z panią d' Estrel, teraz przedewszystkiem powinieneś surowo skarcić *biedne dziecię*.

To powiedziawszy ukłonił się i gwałtem prawie wyprowadził księdza Néraud, nic nie rozumiejącego, a tem samem nie mogącego wyjść z podziwienia.

Przysunęłam się do stolika i zaczęłam niby przeglądać jakieś album; Max wyszedł zamieniwszy po cichu słów kilka z panią d' Estrel; wtedy postąpiłam ku niéj, mówiąc: Przyszłam tu w celu wytłumaczenia się z mojego postępowania dziś rano, ale po tem co zaszło....

— Oh! nie troszcz się o mnie, odpowiedziała z niezwykłą sobie żywością, myślę tylko o tobie i spokój twój mnie przeraża. Czyż zupełnie nie pojmujesz ważności twego położenia? czyż nie widzisz że od paru dni Max stacza z sobą nieustanne i zacięte walki? jakiż to gwałt zadawał sobie przed chwilą! aby jego nie dopuścić sama wystąpiłam zaczepnie, lecz któż wie czy jutro, czy dziś nawet jeszcze nie zbraknie mu siły i mocy nad sobą, a im większy gwałt zadaje sobie, tem wybuch będzie silniejszy. Zastanów się więc, kochana Izabello, pomyśl że nawet życiu twemu zagraża niebezpieczeństwo...

— Kochana pani d' Estrel, odpowiedziałam, przestań już zajmować się moim smutnym losem, bo jakoś nie wychodzi to na dobre. Gdybyś nie była mnie przyzwała i nie przedstawiła mi pana Dolfin, nie byłabym go poznała, ale bądź panj spokojna, jestem gotowa na wszystko i niczego się nie boję.

Chciała jeszcze coś mówić, ale przerwałam podając jéj rękę:

— Najgorzéj głuchy ten co słyszeć nie chce, i pożegnawszy się odjechałam.

Z Chamaret eo Grignan, droga jest prosta i równa, tak więc mimo zapadającego zmroku widziałam w oddali kabryolet w którym jechał pan Dolfin z księdzem Néraud, a o kilkadziesiąt kroków za niemi Maxa ja-

dącego wolno na swoim pięknym wierzchowcu; nareszcie zatrzymał się na drodze czekając póki nie nadjadę, i już ciągle jechał już to przed już to za moim powozem. Czasami zatrzymywał się chwilkę, rzucał na mnie przelotne wejrzenie i chmurnie pokręcał wąsa, poczem twarz jego przybierała znany mi dawno wyraz marmurowéj nieruchomości. Co z tego wszystkiego wyniknie?... Serce moje przepełnione było goryczą, a gorycz ta dozwalała mi obojętnie spoglądać w przyszłość.

XXIII.

Podczas całego obiadu głębokie panowało milczenie; Babtysta usługiwał nam niespokojny i pomieszany, co chwila poglądał na Maxa, był to jego barometr. Zakłopotany upuścił z rąk półmisek, a gdy wziął karafkę ręka mu tak drżała, że rozlał wodę na mój talerz. Wyraźnie zbierało się na burzę.

Wstawszy od stołu Max poszedł za mną do salonu, wzięłam się do mojéj wiekuistéj krzyżowéj roboty. Usiadł blizko mnie, niezadługo jednak wyszedł, i mimo wiatru i przejmującego zimna, blizko godzinę przechadzał się po tarasie. Słyszałam go chodzącego tam i napowrót; chód jego był gorączkowy i nierówny; czasami szum wichru mieszał się z odgłosem jego kroków, i ten połączony odgłos jednocześnie odbijał się w mojem sercu. Kilkakrotnie zdawało mi się, że słyszę go mówiącego, może rozmawiał z wichrem, dwie burze porozumiewały się z sobą. Zdawało mi się że straszne jakieś niebezpieczeństwo na włosku tylko wisiało nad moją głową; czyż los mój już się rozstrzygnie?... Z ciężkością oddychałam, chwilami włosy ciężyły mi na głowie. Sciany, meble, obrazy, zdawały się także oczekiwać czegoś, przybrały uroczystą jakąś postawę, i zamienialiśmy z sobą ponure wejrzenia. Dwukrotnie Max zbliżył się do drzwi, sądziłam że wejdzie i wszystka krew uderzyła mi do serca; ale odchodził postawszy chwilę na progu, a ja uczuwałam żal do niego, że mnie na próżne narażał obawy. Czyż to dopiero jutro nastąpi? myślałam sobie. Niech się dzieje co chcę, byle raz już skończyć, wszak wszystko ma swój koniec....

W tem Max wszedł do sali; nie wiedząc o tem myśli nasze spotkały się z sobą, bo jeszcze we drzwiach zawołał:—Nie pani, tak dłużéj być nie może, stokroć lepiéj umierać. Czy powzięłaś pani jakie postanowienie, bo ja nic wymyśleć nie mogę?....

— Nie rozumiem pana, odpowiedziałam, i nie pojmuję nad czem tu łamać głowę. Za kilka dni wróci panu upodobanie do przygód i wycieczek, i pójdziesz nowe staczać boje, i nowe zbierać wawrzyny. Kiedy znudzony znowu tu powrócisz, zastaniesz wszystko na swojem miejscu, dom, sprzęty i żonę; zdaje mi się że taki był nasz układ, i cóż dziś masz mu pan do zarzucenia? Wszak nie możesz się uskarżać żebym w twéj nieobecności źle zarządzała domem, aby panował tu nieład i nieporządek?

Ale on jakby nie słyszał co mówię: — Powtarzam pani, rzekł podnosząc głos, że czas już skończyć to wszystko; mów pani, czego żądasz? jakie masz zamiary?...

— Ależ cóż się panu stało? odrzekłam; mógłby ktoś myśleć że unosisz się gniewem. Czemu? dla czego? wszak wszystko idzie po twojéj myśli? O ile wiem, pan de Malombré był posłuszny; daléj dzisiejsze dowcipy i anegdotki pana znalazły powodzenie, zkądże więc taki napad złego humoru?....

Porwał wazon stojący na kominku i gwałtownie rzucając o ziemię, rozbił na drobne kawałki.

— Doprawdy to można oszaleć, zawołał grzmiącym głosem. Przez litość postawże mi pani przynajmniéj godnego mnie współzawodnika, wtedy przynajmniéj będę wiedział co mam czynić; ale, na honor, to malowany kochanek ten pan Dolfin, i zaczynam przypuszczać, że chyba ktoś drugi ukrywa się za nim...

— Być może, odpowiedziałam, szukaj pan dobrze.

Postąpił ku mnie z dzikim i obłąkanym wzrokiem:

— Ach! ostrożnie, zawołałam śmiejąc się, mogę się zlęknąć.

Gorączkowe dreszcze wstrząsały całem jego ciałem; jednak po chwili umiał zapanować nad sobą, zmienił wyraz twarzy, i siadając blizko mnie rzekł dość łagodnie:

— Czy nie raczysz pani poważnie pomówić ze mną?

— I na cóż nam się to przyda? rzekłam kręcąc głową.

— Będę szczerym, rzekł; przyznam że pan Dolfin jest daleko lepiéj niż go sobie wyobrażałem słysząc o jego bigoterji: ma on w sobie jakiś wdzięk i urok romantyczny, mogący zająć wyobraźnię kobiety. Dziś naprzykład, pięknym uniesiony gniewem, z iskrzącym wzrokiem i rozruconemi włosami, wyglądał jak młode lwiątko po raz pierwszy upojone zapachem krwi; o jakżeby był ryczał gdyby pani tam nie było!.... Daléj cóż to za prostota, jaka czystość i niewinność wrażeń. To piękna dusza która niczem jeszcze nie skalała swéj czystości; mamże powiedzieć jak należy nazwać tego młodzieńca?... To Cherubin; tylko, niestety! z wiekiem obłąkał się mistycyzmem i to zaszkodziło nieco jego osobistości, bo dziś w marzeniach jego płacze się na przemiany raj i Rozyna. Aż nareszcie zastanowił się, że trzeba raz uczynić wybór: Rozyna zachwycająca, ale raj pewniejszy; co za kłopot, jak trudna do stoczenia walka!... Dziś przywdziewać kask, jutro habit; trudne, nadzwyczaj trudne zadanie!... Zresztą bądź pani przekonana, że poznałem cię doskonale, ty bynajmniéj nie jesteś podobną do innych kobiet, dla ciebie potrzeba nadzwyczajności, i przypadek usłużył ci nad wszelkie spodziewanie; ktokolwiek inny nie byłby nawet zdołał zwrócić twojéj uwagi. Lecz jestże tu rzeczywiście coś ważnego? ja przekonany jestem, że to nie miłość, ale proste chwilowe zawrócenie głowy i nic więcéj. Przyznaj pani że mam słuszność, dość mnie już ukarałaś; przyznaj, że chciałaś tylko mnie nastraszyć; przestraszyłaś mnie ogromnie, jestżeś zadowolniona?

I przysuwając się do mnie:

— Czy wiesz pani jaki mam zamiar? Jedźmy razem do Włoch, zwiedzimy Rzym, Neapol, Florencyą; spuść się na mnie, będę umiał cię rozerwać i zabawić. Wspomnienia twoje rozwieją się bardzo prędko i może ulatując zostawią drzwi otwarte, będę się starał korzystać z tego... A Cherubin? mniejsza o niego, pozostanie mu na pociechę przeczucie rozkoszy oczekujących go po za grobem.

(d. c. n.)